

A person is crouching in a dark, blue-tinted, and seemingly ruined environment. The person is in the lower-left foreground, looking towards the right. The background consists of dilapidated walls and doorways, with a bright light source visible through one of the openings, creating a strong contrast and a sense of depth. The overall mood is somber and mysterious.

DEAN
KOONTZ
KĄTEM OKA

DANIE DLA SMAKOSZY – AKCJA, DRAMAT, SCIENCE FICTION
DOPRAWIONE APETYCZNĄ SZCZYPTĄ HORRORU

1

Bartholomew Lampion stracił wzrok w wieku trzech lat, kiedy to zachorował na raka i lekarze byli zmuszeni usunąć mu gałki oczne, ale odzyskał wzrok, ukończywszy trzynaste lat.

Owo nagłe przejście z dziesięciolecia ciemności w jasność światła nie dokonało się za sprawą dotyku świętego uzdrowiciela. Przywrócenie wzroku, podobnie jak narodziny chłopca, nie zostało obwieszczone głosem niebiańskich trąb.

Pewną rolę odegrał tu rollercoaster, a także mewa. Nie można też lekceważyć głębokiego pragnienia, jakie żywił Barty, by dać matce powody do dumy przed jej drugą śmiercią.

Po raz pierwszy umarła w dniu jego narodzin.

Szóstego stycznia 1965 roku.

Mieszkańcy Bright Beach w Kalifornii wyrażali się o matce Barty'ego,ANGES Lampion — zwanej też Placuszkową Damą — z miłością. Żyła dla innych, sercem wsłuchiwała się z uwagą w ich tęsknoty i pragnienia. W tym materialistycznym świecie jej bezinteresowne postępowanie wzbudzało głęboką podejrzliwość wśród tych, których krew zawiera tyle samo cynizmu co żelaza. Nawet jednak oni musieli przyznać, że Placuszkowa Dama miała niezliczonych wielbicieli i ani jednego wroga.

Człowiek, który zniszczył w noc narodzin Barty'ego świat Lampionów, też nie był jej wrogiem. Był kimś obcym, dzielił jednak z jej rodziną jedno ogniwo w długim łańcuchu swego przeznaczenia.

2

Szóstego stycznia 1965 roku, krótko po ósmej rano, Agnes odczuła pierwsze bóle porodowe. Piekła właśnie placki z jagodami. Nie był to kolejny fałszywy alarm, gdyż tym razem ból rozlał się po całych plecach i brzuchu, nie ograniczając się jedynie do jego dolnej części i pachwin. Skurcze były silniejsze, kiedy chodziła, niż wówczas, gdy siedziała albo stała — jeszcze jeden znak, że poród zaczął się naprawdę.

Nie cierpiała bardzo. Skurcze były dość regularne, ale stosunkowo rzadkie. Postanowiła, że pojedzie do szpitala, kiedy już upora się ze wszystkim, co zaplanowała na ten dzień.

W przypadku pierwszej ciąży ta faza porodu trwa przeciętnie dwanaście godzin. Agnes uważała się za osobę przeciętną pod każdym względem, równie zwyczajną co szary, ściągany w pasie dres, który mógł pomieścić jej ogromny brzuch; była zatem przekonana, że następna faza porodu nie zacznie się przed dziesiątą wieczorem.

Joe, mąż, chciał zawieźć ją do szpitala jeszcze przed południem. Spakował walizkę i zaniósł do samochodu, a potem odwołał wszystkie spotkania i krążył w pobliżu, pamiętając jednak, by zachować należyty dystans. Bał się, że żona, zirytowana jego troską, w końcu każe mu się wynosić z domu.

Ilekczo słyszał, jak Agnes pojękuje cicho albo z sykiem bólu wciąga powietrze, starał się odmierzyć czas jej skurczów. Spędził

większość dnia na obserwacji swojego zegarka i teraz, spoglądając w lustro na korytarzu, był niemal pewien, że zobaczy wokół swych oczu niewyraźny cień wskazówek sekundnika.

Joe lubił się martwić na zapas, choć nie sprawiał takiego wrażenia. Wysoki i silny, mógłby uchodzić za Samsona, który trzęsie kolumnami i grzebie Filistynów pod zwałami kamieni. Był jednak z natury łagodny, nie odznaczał się arogancją i bezczelną pewnością siebie mężczyzny jego postury. Choć pogodny, a nawet jowialny, wierzył święcie, że jest niezasłużenie obdarzony powodzeniem, przyjaciółmi i rodziną. Nie ulegało wątpliwości, że los pewnego dnia skoryguje ów nadmiar.

Nie był bogaty, powodziło mu się przeciętnie, ale nigdy się nie martwił, że może stracić pieniądze, gdyż zawsze mógł je zarobić ciężką pracą i wytrwałością. Sen z powiek podczas niespokojnych nocy spędzał mu cichy lęk przed utratą tych, których kochał. Życie przypominało lód na stawie wczesną zimą, bardziej kruchy niż na pierwszy rzut oka, poznaczony niewidocznymi pęknięciami, skrywający pod sobą lodowatą ciemność.

Poza tym w oczach Joego Lampiona Agnes nie była pod żadnym względem przeciętna, choćby sama myślała inaczej. Uważał ją za osobę niezwykle, wyjątkową. Nie postawił jej na piedestale, gdyż żaden piedestał nie był dla niej dość wysoki.

Gdyby kiedykolwiek ją stracił, sam byłby stracony.

Przez cały ranek Joe Lampion rozmyślał o wszelkich możliwych komplikacjach występujących przy porodzie. Wiedział na ten temat aż za dużo, gdyż przed wieloma miesiącami przeczytał opasły podręcznik medyczny, co przeraziło go bardziej niż lektura najbardziej krwawego thrillera.

O godzinie 12.50, nie mogąc uwolnić się od barwnych opisów przedporodowego i poporodowego krwotoku czy też gwałtownych konwulsji rzucawkowych, wpadł do kuchni i oświadczył:

— No dobra, Aggie, daj spokój. Już dość czekaliśmy.

Siedziała przy stole i zapisywała karty, które zamierzała dołączyć do placków z jagodami.

— Czuję się świetnie, Joey.

Prócz niej nikt nie nazywał go Joey. Miał prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył sto pięćnaście kilo, a jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia — niczym budząca grozę skała. Wystarczyło jednak posłyszeć ten niski, melodyjny głos albo ujrzeć w jego oczach dobroć, by zniknęły wszelkie obawy.

— Jedziemy do szpitala — nalegał, pochylając się nad nią niczym góra.

— Nie, jeszcze nie.

Choć Aggie mierzyła niespełna sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła, pomijając nienarodzone dziecko, ponad dwa razy mniej niż Joe, nie dałaby się podnieść z krzesła wbrew swej woli, nawet gdyby ten miał kołowrót i dość samozaparcia, by się nim posłużyć. W każdej konfrontacji z żoną Joey był nieodmiennie uosobieniem Samsona, ale ze ściętymi włosami.

Rzucając gniewne spojrzenie, które zmieniłoby grzechotnika w nieszkodliwą glistę, Joe powiedział:

— Proszę cię.

— Muszę to dokończyć, żeby Edom mógł wszystko dostarczyć jutro rano.

— W tej chwili interesuje mnie tylko jedna dostawa.

— A mnie siedem. Sześć placków i jedno dziecko.

— Te twoje placki!

— Te twoje zrządzenia — odparła z uśmiechem, który roztopił mu serce, jak słońce roztopia masło.

Westchnął.

— Napisz to i jedziemy.

— Najpierw kartki. Później lekcja angielskiego z Marią. Dopiero potem jedziemy.

— Nie nadajesz się do lekcji.

— Nauka angielskiego nie wymaga podnoszenia ciężarów, mój drogi.

Rozmawiając z mężem, ani na chwilę nie przerwała pisania, a Joe patrzył, jak spod stalówki wypływa strumyk równych liter. Jego żona przypominała medium, które przekazuje słowa jakiegoś

wyższego i niewidzialnego źródła.

Wreszcie Joe nachylił się nad stołem, Aggie zaś spojrzała na niego, przykryta wielkim i milczącym cieniem męża. Jej zielone oczy lśniły niezwykłym blaskiem. Przybliżył swe ciosane w kamieniu oblicze do jej porcelanowo delikatnej twarzy.

Agnes, jakby pragnąc zakosztować jego niszczycielskiej siły, uniosła się lekko i dotknęła go ustami.

— Kocham cię ponad życie — wyznał bezradnie.

— Ponad życie? — znów go pocałowała. — Ponad wszystko.

— Jak mam nie oszaleć?

Rozległ się dzwonek u drzwi.

— Otwórz — poradziła mu.

3

Dziki lasy porastające wybrzeża Oregonu przykrywały wzgórza wielkim, katedralnym sklepieniem zieleni. Panowała tu cisza jak w świątyni. Wysoko na niebie, między szmaragdowymi wieżycami drzew, szybował jastrząb, zataczając coraz szersze koła. Ciemnopióry anioł spragniony krwi.

Niżej, przy samej ziemi, nie widać było nawet śladu żywej istoty, a spokoju owego szczególnego dnia nie mącił najłżejszy nawet podmuch wiatru. W głębokich dolinach wciąż zalegały bez ruchu świetliste welony mgły, pozostawione przez ustępującą noc. Słysząc było jedynie trzask zeschniętych igieł pod stopami doświadczonych wędrowców i ich rytmiczny oddech.

Tego ranka, o dziewiątej, Junior Cain i jego młoda żona Naomi zostawili swojego chevroleta na poboczu drogi pożarowej i ruszyli pieszo na północ, wzdłuż szlaków jelenich i ścieżek wytyczonych przez naturę, zagłębiając się w ciemny bezkres. Choć było już południe, słońce przedzierało się tu tylko wąskimi promieniami, niezdolne rozświetlić w mroku leśnych ostępów.

Junior wysuwał się czasem do przodu, a potem musiał przystawać, odwracać się i czekać, aż Naomi nadrobi dystans. Jej złote włosy połyskiwały nieodmiennie, w blasku słońca czy w cieniu, twarz zaś stanowiła uosobienie doskonałości, o której marzą dorastający chłopcy, a dorośli mężczyźni gotowi są dla niej poświęcić honor i wyrzec się bogactwa. Czasem to Naomi

sza przodem, a wówczas Junior był tak oczarowany jej zwinną i gibką sylwetką, że z trudem dostrzegał zielone sklepienie nad głową, kolumny pni, bujne paprocie i obsypane kwiatami rododendrony.

Choć już sama uroda Naomi mogła podbić serce, Cain był równie zafascynowany jej wdziękiem, zwinnością, siłą i determinacją, z jaką pokonywała strome zbocza i trudny, skalisty teren. Podchodziła w życiu do wszystkiego — nie tylko pieszych wędrówek — z entuzjazmem, pasją, inteligencją, odwagą.

Byli małżeństwem od czternastu miesięcy, a jednak z każdym dniem jego miłość nabierała mocy. Miał tylko dwadzieścia trzy lata i czasem mu się zdawało, że jego serce jest zbyt małe, by pomieścić ogrom uczuć, jakie wobec niej żywił.

Inni mężczyźni też starali się o Naomi, wielu przystojniejszych od niego i mądrzejszych, wszyscy bez wyjątku bogatsi. Jednak Naomi chciała tylko jego, nie z powodu majątku, jaki posiadał czy też mógł któregoś dnia zdobyć, ale dlatego, że ujrzała w nim „światlistą duszę”.

Junior był rehabilitantem, i to dobrym. Pracował głównie z ofiarami wypadków i wylewów, które walczyły o odzyskanie sprawności. Kochał to, co robił, widział w tym sens, ale zdawał sobie sprawę, że nie zostanie właścicielem wielkiej posiadłości na jakimś wzgórzu.

Dzięki Bogu Naomi nie miała dużych wymagań. Wolała piwo od szampana, pogardzała diamentami i nie marzyła o podróży do Paryża. Kochała naturę, spacerować w deszczu, nadmorskie plaże i dobre książki.

Podczas pieszych wędrówek, gdy szlak nie nastęrczał trudności, śpiewała sobie cicho, najczęściej dwa ulubione szlagiery, *Somewhere over the Rainbow* i *What a Wonderful World*. Głos miała czysty jak wiosenny strumyk i ciepły jak promień słońca, pełen miłości życia i radości, która Juniorowi się udzielała i dodawała sił.

Styczniowy dzień był zaskakująco ładny i gorący, poza tym znajdowali się blisko wybrzeża, z dala od strefy śniegu, mieli

więc na sobie tylko szorty i T-shirty. Przyjemne ciepło zrodzone ze zmęczenia, słodki ból poddanych wysiłkowi mięśni, zapach lasu przesycony aromatem sosny, prężność i wdzięk nagich nóg Naomi, jej uroczy śpiew — tak mógł wyglądać raj. Jeśli istniał.

Ponieważ nie zamierzali biwakować pod gołym niebem, nieśli tylko lekkie plecaki — zestaw pierwszej pomocy, woda pitna, jedzenie — i osiągnęli niezłe tempo. Krótco po dwunastej dotarli do wąskiego prześwitu w leśnym gąszczu i wkroczyli na ostatni odcinek krętej drogi pożarowej. Podążyli tym duktem na szczyt wzniesienia i dotarli do wieży obserwacyjnej, która na ich mapie widniała jako czerwony trójkąt.

Wieża stała na szerokiej grani — budząca podziw konstrukcja z impregnowanego drewna, szeroka u podstawy na dwanaście metrów. Zwężała się ku górze, była zwieńczona odkrytą platformą. Pośrodku znajdowała się zadaszona budka z ogromnymi oknami.

Gleba w tym miejscu była kamienista i alkaliczna, więc najwyższe drzewa osiągały jedynie trzydzieści metrów, o połowę mniej niż olbrzymy lasu deszczowego, które dumnie porastały niższe partie zboczy. Wieża wysoka na jakieś czterdzieści metrów sięgała ponad ich szczyty.

Wewnątrz konstrukcji bieżyły kręcone schodki. Pomijając kilka zapadniętych stopni i obłuzowanych słupków w poręczy, były w niezłym stanie, a mimo to Junior poczuł się niepewnie, gdy stanął na drugiej kondygnacji. Nie potrafił określić przyczyny swego niepokoju, ale instynkt nakazał mu ostrożność.

Jesień i zima były deszczowe, więc groźba pożaru wydawała się niewielka — nikt nie prowadził ze szczytu obserwacji. Wieża, pomijając ważną funkcję, jaką pełniła, była też doskonałym punktem widokowym dla każdego, kto miałby ochotę wspiąć się na górę.

Junior szedł w ślad za Naomi. Stopnie skrzypiały. Kroki i ciężki oddech obojga budziły głucho echo. Nie stanowiło to szczególnych powodów do niepokoju, a jednak...

W miarę jak wspinali się w górę, klinowata przestrzeń między belkami podtrzymującymi konstrukcję zwężała się coraz bardziej

i przepuszczała coraz mniej światła. Pod platformą panował mrok, choć nie trzeba było świecić sobie latarką.

Przejmujący odór środka impregacyjnego mieszał się teraz z zastarzałą wonią pleśni i grzybów, których obecność na tak dobrze zakonserwowanym drewnie była czymś zaskakującym.

Junior przystanął, by spojrzeć w dół, przez ażurową gęstwinę cieni, jakby się bał, że ktoś za nimi podąża. Nikogo nie dostrzegł.

Towarzyszyły im tylko pająki. Nikt nie wchodził tędy od tygodni, może nawet miesięcy, co chwila napotykali na swej drodze budzące grozę pajęczyny o zawiłym wzorze. Niczym zimna i krucha ektoplazma, ulotne zasłony napierały na ich twarze i oblepiały im bezustannie odzież. Nawet w mroku wieży wyglądali jak powstałi z grobu martwi w postrzępionych całunach.

Im bliżej szczytu, tym mniej było stopni między kolejnymi kondygnacjami, wreszcie kończyły się na ostatnim podejściu, jakieś dwa, trzy metry pod platformą. Wchodziło się na nią przez otwór w podłodze, po krótkiej drabince.

Junior podążył za żoną na taras obserwacyjny. Widok zapierał dech w piersiach. Stojąc piętnaście pięter ponad najwyższym punktem grani, pięć pięter ponad wierzchołkami drzew, zobaczyli zielone morze wznoszące się w odwiecznym przypiływie ku zamglonemu wschodowi i opadające beczasową kaskadą ku prawdziwemu oceanowi, kilka kilometrów dalej na zachód.

— Och, Eenie! — zawołała. — To niesamowite!

Tak go pieszczotliwie nazywała. Nie chciała używać miana „Junior”, jak wszyscy inni, on z kolei nie pozwalał mówić do siebie „Enoch”. Było to jego prawdziwe imię. Enoch Cain Junior.

No cóż, każdy dźwiga jakiś krzyż. Lepsze to niż garb lub trzecie oko.

Otrzepli się z pajęczyn, oplukali dłonie wodą z butelki i zjedli prowiant. Kanapki z serem i suszone owoce.

Okrążyli w tym czasie taras kilkakrotnie, chłonąc wspaniałą widok. Za drugim razem Naomi dotknęła dłonią balustrady i zauważyła, że kilka wsporników jest spróchniałych.

Nie oparła się o poręcz całym ciężarem, nie groziło jej, że

spadnie. Paliki wychyliły się na zewnątrz, jeden zaczął nawet trzeszczeć i Naomi natychmiast cofnęła się z krawędzi tarasu w bezpieczne miejsce.

Junior był jednak tak zaniepokojony, że chciał od razu iść na dół i dokończyć posiłek na pewniejszym gruncie. Trząśł się jak liść, zaschło mu w ustach.

— Prawie cię straciłem — powiedział drżącym głosem, który dziwnie brzmiał mu w uszach.

— Och, Eenie, stałam daleko od balustrady.

— Za blisko, o wiele za blisko.

Nie zgrzał się podczas wspinaczki na wieżę, ale teraz czuł, jak pali go czoło.

Naomi uśmiechnęła się i otarła mu twarz papierową serwetką.

— Jesteś słodki. Kocham cię.

Przytulił ją mocno. Tak dobrze czuła się w jego ramionach. Jak coś cennego.

— Chodźmy na dół — nalegał.

Uwolniła się z jego objęć, ugryzła kanapkę i — piękna nawet z pełnymi ustami — powiedziała:

— Nie możemy. Musimy dokładnie obejrzeć balustradę.

— Po co?

— Może spróchniały jest tylko kawałek, a może całość. Musimy to wiedzieć, kiedy wrócimy do cywilizacji i zadzwonimy do służby leśnej.

— Wystarczy, że zadzwonimy. Niech sami to sprawdzą.

Uśmiechając się szeroko, pociągnęła go za lewe ucho.

— Dzyń, dzyń. Jest tam kto? Prowadzę badania dotyczące obywatelskich powinności.

Zmarszczył brwi.

— Telefon to mało?

— Im więcej informacji będziemy mieli, tym lepiej. Nie wezmą nas za szczeniaków, którzy robią kawały.

— To wariactwo.

— Schizofrenia czy paranoja?

— Co?

— Żartowałam. — Dokończyła kanapkę i oblizała palce. — Pomyśl tylko, Eenie. Co będzie, jak wejdzie tu jakaś rodzina z dziećmiakami?

Nigdy nie umiał jej odmawiać, zresztą rzadko pragnęła czegokolwiek dla siebie.

Taras otaczający zadaszony postereunek obserwacyjny miał około trzech metrów szerokości. Wydawał się pewny i bezpieczny pod stopami. Problemy techniczne ograniczały się wyłącznie do balustrady.

— No dobrze — zgodził się Junior niechętnie. — Ale to ja sprawdzę poręcz, a ty zostaniesz tutaj, w bezpiecznym miejscu.

Zniżyła głos i powiedziała chrapliwie:

— Mężczyzna walczyć z groźny tygrys. Kobieta patrzeć.

— To naturalny porządek rzeczy.

— Mężczyzna mówić naturalny porządek — ciągnęła tym samym tonem. — Dla kobieta to rozrywka.

— Zawsze do usług, madame.

Ruszył wzdłuż balustrady, badając ją ostrożnie ręką. Naomi trzymała się z boku.

— Uważaj, Eenie.

Wyczuwał pod dłonią nierówności starej, popękanej poręczy. Bardziej go niepokoiły drzazgi niż groźba upadku. Oddalony od krawędzi tarasu na wyciągnięcie ramienia, szedł powoli i raz za razem szarpał mocno poręcz, by znaleźć obluzowane czy spróchniałe słupki, na których się wspierała.

Po kilku minutach okrążyli całą platformę i wrócili do miejsca, gdzie Naomi natrafiła na uszkodzony fragment. Był to jedyny słaby punkt balustrady.

— Zadowolona? — spytał. — Idziemy na dół.

— Jasne, ale najpierw dokończymy lunch.

Wyjęła z plecaka paczkę suszonych moreli.

— Powinniśmy zejść — upierał się.

Wytrząsnęła mu z torebki na dłoń dwa owoce.

— Chcę sobie jeszcze popatrzeć. Nie psuj mi zabawy, Eenie. Wiemy już, że tu jest bezpiecznie.

— Okay — poddał się. — Ale nie opieraj się o balustradę.

— Byłbyś wspaniałą matką.

— Owszem, choć miałbym kłopoty z karmieniem piersią.

Znów okrążyli taras, zatrzymując się co parę kroków, by podziwiać widoki. Junior poczuł, że napięcie szybko go opuszcza. Towarzystwo Naomi jak zawsze okazało się zbawienne.

Wsunęła mu w usta morelę. Przypomniwał sobie przyjęcie weselne, kiedy karmili się nawzajem kawałkami tortu. Życie z Naomi przypominało nieprzerwany miesiąc miodowy.

Wreszcie dotarli z powrotem do miejsca, w którym balustrada prawie załamała się pod jej dłonią.

Junior pchnął Naomi tak mocno, że niemal uniosła się w powietrze. Rozwarła szeroko oczy, wypuściła z ust na wpeł pogryzioną morelę. Uderzyła plecami o słaby fragment balustrady.

Przez chwilę Junior myślał, że drewno wytrzyma, ale słupki pękły, poręcz trzasnęła, a Naomi runęła z tarasu przy akompaniamencie jęku spróchniałej konstrukcji. Była tak zaskoczona, że zaczęła krzyczeć dopiero po długiej chwili, kiedy już pokonała jedną trzecią straszliwej drogi w dół.

Junior nie usłyszał, jak uderzyła o ziemię, ale raptownie urwany krzyk był aż nadto wymowny.

Zadziwił sam siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że jest zdolny do morderstwa z zimną krwią, dokonanego zwłaszcza w pierwszym odruchu, gdy nie ma czasu na analizę ryzyka i potencjalnych korzyści tak drastycznego czynu.

Kiedy już złapał oddech i ochłonął po tym akcie niezwyklej odwagi, ruszył wzdłuż krawędzi tarasu, w stronę wyłamanego fragmentu poręczy. Wychylił się z bezpiecznej pozycji i spojrzał na dół.

Leżała na plecach. Była taka maleńka. Niewyraźna plamka na ciemnej trawie i kamieniach. Jedna noga przygnieciona ciałem i zgięta pod niewiarygodnym kątem. Prawa ręka przy boku, lewa odrzucona, jakby Naomi do kogoś machała. Wokół głowy świetlista aureola włosów.

Kochał ją tak bardzo, że nie mógł znieść tego widoku.

Odwrócił się od balustrady i usiadł wsparty plecami o ścianę budki obserwacyjnej.

Przez chwilę zanosił się niepowstrzymanym płaczem. Stracił w Naomi kogoś więcej niż żonę, więcej niż przyjaciółkę i kochankę, więcej niż bratnią duszę. Stracił część swej fizycznej istoty: był w środku wydrążony, jakby wydarto mu wnętrzości i zastąpiono próżnią, czarną i zimną. W rozpacz i przerażeniu zaczęły go nachodzić myśli samobójcze.

Ale po chwili poczuł się lepiej.

Może niezbyt dobrze, lecz zdecydowanie lepiej.

Naomi wypuściła z dłoni torebkę z suszonymi morelami, kiedy runęła w dół. Zbliżył się ostrożnie, wyciągnął owoc i zaczął żuć powoli, rozkoszując się smakiem. Słodysz.

W końcu podczołgał się na brzuchu do wyrwy w balustradzie i znów spojrzął na swoją utraconą kochankę, która leżała daleko w dole. Nie zmieniła pozycji od poprzedniego razu.

Nie spodziewał się oczywiście, że ujrzy ją w tańcu. Upadek z wysokości piętnastego piętra nie nastraja do płasów.

Nie mógł dojrzeć krwi. Ale wiedział, że musiało jej się choć trochę rozlać.

Powietrze było nieruchome, wiatr ucichł zupełnie. Jodły i sosny stały bez drgnienia, niczym kamienne głowy na Wyspie Wielkanocnej wpatrzona tajemniczo w ocean.

Naomi jest martwa. Była tak żywa przed zaledwie paroma chwilami. Niewyobrażalne.

Niebo miało barwę błękitu, jak porcelanowy serwis jego matki. Na wschodzie tumany chmur, niczym gęsty krem. I słońce, maślane w swej żółci.

Wygłodniały, zjadł jeszcze jedną morelę.

Ani śladu jastrzębi w górze. Żadnego ruchu na tym bezludziu.

W dole martwa Naomi.

Jakże dziwne jest życie. Jakże kruche. Człowiek nigdy nie wie, co spotka go za następnym rogiem.

Szok ustąpił głębokiemu zdziwieniu. Przez większość swego młodego życia Junior rozumiał, że świat jest niezwykle tajemniczy,

że rządzi nim los. Teraz uświadomił sobie za sprawą tej tragedii, że ludzki umysł i serce są nie mniej zagadkowe niż reszta stworzenia.

Kto by pomyślał, że Junior Cain jest zdolny do tak niespodziewanego i okrutnego czynu?

Z pewnością nie Naomi.

Prawdę mówiąc, on też nie. Jak namiętnie kochał tę kobietę! Jak szaleńczo ją wielbił! Wydawało mu się, że nie może bez niej żyć.

Mylił się. Naomi tam, w dole, martwa, a on tu, na górze, żywy. Krótki samobójczy impuls minął i Junior już wiedział, że jakoś przeżyje tę tragedię, że ból w końcu przygaśnie, że dojmujące poczucie straty z czasem stępieje i że w końcu może nawet kogoś znów pokocha.

I rzeczywiście, pomimo smutku i żalu patrzył w przyszłość z optymizmem, ciekawością i podnieceniem, co nie zdarzyło mu się od dłuższego czasu. Był zdolny do czegoś takiego, a więc różnił się od człowieka, za jakiego zawsze się uważał, był bardziej złożony, bardziej dynamiczny.

Westchnął. Miał wielką ochotę poleżeć sobie na tarasie i popatrzeć w dół na martwą Naomi, marząc o barwniejszej przyszłości niż ta, jaką sobie wcześniej wyśnił, ale czekało go jeszcze sporo roboty. Wiedział, że przez jakiś czas będzie wiódł bardzo aktywne życie.

4

Dzwonek odezwał się ponownie. Joe zobaczył Marię Gonzalez za szybą drzwi wejściowych, którą pokrywał motyw róży: twarz kobiety, miejscami zielona i czerwona, gdzieś tam załamana, gdzie indziej popękana, była istną mozaiką płatków i liści.

Kiedy otworzył drzwi, Maria skłoniła się nieznacznie i nie podnosząc wzroku, powiedziała:

— Ja muszę być Maria Gonzalez.

— Tak, Mario, wiem, kim jesteś.

Był jak zawsze oczarowany jej nieśmiałością i nieustraszoną walką z językiem angielskim. Choć cofnął się i przytrzymał drzwi, Maria dalej tkwiła na progu.

— Ja będę widzieć pani Agnes.

— Tak, zgadza się. Proszę wejść.

Wciąż się wahała.

— Po angielski.

— Ma tego mnóstwo. Jak dla mnie aż za dużo.

Maria zmarszczyła brwi. Zbyt słaba znajomość języka nie pozwalała jej zrozumieć dowcipu.

Joe nie chciał, by pomyślała sobie, że się z niej naśmiewa, przybrał więc ton niekłamanej szczerości.

— Wejdz, proszę, Mario. *Mi casa es su casa*.

Zerknęła na niego, po czym szybko uciekła gdzieś wzrokiem.

Jej skromność nie wynikała tylko z wrodzonej nieśmiałości,

miała też podłoże kulturowe. Maria pochodziła z tej części Meksyku, gdzie nikt nie patrzy prosto w oczy człowiekowi uważanemu za patrona.

Chciał jej powiedzieć, że to Ameryka, gdzie nie trzeba się nikomu nisko kłaniać, że status społeczny w momencie narodzin to nie więzienie, tylko otwarte drzwi do przyszłości, punkt startowy nowego życia. Ten kraj zawsze był ziemią jutra.

Joe bał się, że z powodu jego wzrostu, grubo ciosanych rysów i gniewnego spojrzenia, sprowokowanego jak zwykle poczuciem wielkiej niesprawiedliwości, każda krytyka tej kobiecie mogłaby się wydać zbyt brutalna. Nie miał ochoty iść do kuchni i mówić Agnes, że wystraszył na śmierć jej uczennicę.

Przez jedną długą chwilę sądził, że będą trwali w tym impasie — Maria wpatrzona w swoje stopy, on spoglądający na czubek jej schylonej pokornie głowy — aż jakiś anioł zadmie na trąbie, ogłaszając dzień Sądu Ostatecznego, i martwi powstaną z grobów.

Po chwili przez ganek przemknął niewidzialny pies pod postacią gwałtownego wiatru, chłuszcząc swym ogonem Marię. Powęszył ciekawie na progu i zziębnięty wpadł do domu, ciągnąc za sobą niewysoką śniadą kobietę.

— Aggie jest w kuchni — poinformował ją Joe, zamykając drzwi.

Maria studiowała dywan w przedpokoju z taką samą intensywnością jak wcześniej podłogę ganku.

— Ty proszę powiedzieć jej, że ja Maria?

— Idź po prostu do kuchni. Czeka na ciebie.

— Do kuchni? Samej?

— Słucham?

— Do kuchni samej?

— Sama — poprawił z uśmiechem. — Oczywiście. Wiesz, gdzie jest kuchnia.

Maria przytaknęła, ruszyła w stronę zwieńczonego łukiem prześwitu, który prowadził do salonu, odwróciła się i przez chwilę patrzyła mu odważnie w oczy.

— Dziękuję.

Patrząc w ślad za nią, gdy przechodziła przez salon, a potem znikwała w jadalni, Joe z początku nie rozumiał, za co dziękowała. Potem uświadomił sobie, że okazała mu wdzięczność za zaufanie — nie obawiał się, że coś ukradnie, gdy będzie szła sama do kuchni.

Najwidoczniej była przyzwyczajona do takich podejrzeń nie dlatego, by na nie zasługiwała, ale dlatego, że była Marią Eleną Gonzalez, która wyruszyła z Meksyku na północ, w poszukiwaniu lepszego życia.

Choć ten dobitny przykład głupoty i podłości świata napawał go smutkiem, nie zamierzał pograżać się w ponurych myślach. Niebawem miał się pojawić ich pierworodny i Joe pragnął po latach wspominać ten dzień jako czas szczęścia, wypełniony jedynie słodkim — choć nieco nerwowym — oczekiwaniem i radością narodzin.

Zasiadł w salonie w ulubionym fotelu i próbował czytać najnowszą powieść o Jamesie Bondzie, nie mógł się jednak skupić. Bond przeżył tysiące niebezpieczeństw i pokonał setki złoczyńców, ale nie miał pojęcia o komplikacjach mogących przemienić zwyczajny poród w śmiertelną próbę sił dla matki i dziecka.